



ANDRZEJ SARWA

CIEN'
WŁADCY SABATU

ARMORYKA

Andrzej Sarwa
Cień Władcy Sabatu

Andrzej Sarwa

**CIEŃ
WŁADCY
SABATU**

Armoryka
SANDOMIERZ

Redaktor: Marta Sarwa

Copyright © 2006 by Wydawnictwo
i Księgarnia Internetowa ARMORYKA

Wydawnictwo ARMORYKA
ul. Krucza 16
27-600 Sandomierz
tel (0-15) 833 21 41
e-mail: wydawnictwo.armoryka@interia.pl
<http://armoryka.stefa.pl/>

ISBN 978-83-60276-40-2

Część Pierwsza

Będąc dzieckiem lubilem – pod nieobecność ojca – zakradać się do jego gabinetu i usiadłszy gdzieś w kącie, skryty pomiędzy regałami, których półki szczelnie wypełniały grzbiety ksiąg oprawnych w skórę, ze złożonymi literami tytułów i ornamentami, wpatrywać się w dziwną mapę, rozwieszoną na wprost jego biurka.

Piszę dziwną, bowiem w niczym nie przypominała tych map, jakie drukuje się teraz. Rysowana była niegdyś chyba czarnym, teraz zaś zblakłym i zbrązowiałym ze starości atramentem, na dużej karcie pergaminowej.

Na owej mapie, przedstawiającej bez wątpienia wyspę, zaznaczone były rzeki i strumienie, a w jej centralnej części wyobrażone zostały góry. W jednym z rogów widniała róża wiatrów, a wokół brzegów karty wyrysowano jakieś przedziwne, a niesamowite stwory: potworkowatych ludzi o twarzach dzikich, pełnych okrucieństwa oraz zwierzęta nieznanne – ni to smoki, ni ptaki, ryby – nie ryby...

Wszakże najbardziej intrygowało mnie i przerażało zarazem wyobrażenie głowy, człowieczą głowę przypominającej, ale tak niesamowitej, tak potwornej, że gdy wpatrywałem się w nią dłużej niż kilka chwil zaledwie, ogarniała mnie groza. Lęk potężny żelazną pięścią zaciskał się na moim sercu i umyśle, i tłumiąc krzyk

przerażenia wzbierający w gardle, uciekłem precz z ojcowskiego gabinetu i skrywszy się w swoim pokoju, długo nie mogłem odzyskać równowagi.

Mapa owa dziwnie jakoś – mimo iż, zawsze wzbudzała we mnie grozę – fascynowała jednocześnie i gdy przez dłuższy czas nie miałem możliwości jej oglądać, zdawała się mnie przyzywać jawiąc się w snach.

U samego dołu tejże mapy widniał napis sporządzony dziwnie poskręcanymi literami, który z trudem wielkim udało mi się odczytać. Brzmiał on:

ET VIDI LIBRUM SIGNATUM SIGILLIS SEPTEM.

Długo starałem się dociec jego znaczenia, nie śmiejąc wszakże zapytać o to ojca, bo gdyby się dowiedział, iż wchodzę – wbrew jego wyraźnemu zakazowi – do gabinetu, z pewnością by się rozgniewał.

Przecież któregoś dnia stało się to, co zdało się być nieuniknione i ojciec przydybał mnie wciśniętego pomiędzy regały i wpatzonego w tajemniczą mapę.

Bąłem się, iż będzie krzyczał, a być może nawet ukarze mnie, ale on nic nie mówił. Stał tylko nade mną, a w jego oczach malowało się więcej smutku i zatroskania niż złości.

Podniosłem się i nie próbując nawet tłumaczyć się czy przepraszać za złamanie zakazu i przestąpienie progu gabinetu, po prostu zapytałem:

– Co znaczą owe słowa wypisane u dołu mapy, ojcze?

– I UJRZAŁEM KSIEGĘ ZAPIECZETOWANĄ SIEDMIOMA PIECZĘCIAMI.

To po łacinie, a jest to urywek jednego z wersów Apokalipsy św. Jana Apostoła, na Wschodzie zwanego Janem Teologiem, bądź Janem Ewangelistą.

– Ale dlaczego – pytałem dalej zaintrygowany – autor owej mapy umieścił je na niej i co chciał przez to powiedzieć?

– Któż to może zgadnąć?

Usiłowałem jeszcze go pytać, dowiedzieć się czegoś więcej

o samej mapie, skąd ona, jak trafiła do naszego domu, ile lat może liczyć, jaki ład przedstawia, lecz nie uczyniłem tego, bo ojciec, jakby przeczuwając to wszystko, surowo spojrział na mnie i rzekł:

– A teraz wyjdź i nigdy więcej nie wchodź do tego pokoju bez mojej zgody. Zawstydzony opuściłem głowę i chyłkiem wymknąłem się przez wpół uchylone drzwi.

Tej nocy długo nie mogłem zasnąć. Szeroko otwartymi oczyma, wpatrzony w ciemność, zastanawiałem się nad znaczeniem dziwnych łacińskich słów. Zapładniały one moją wyobraźnię, w której jawiła się ogromna księga po siedmiokroć zapieczętowana, a zawierająca jakąś tajemnicę, poznanie której mogłoby chyba zmienić cały bieg mojego życia, nie zapowiadającego się nazbyt ciekawie, ba! wręcz prozaicznie nawet.

Począłem marzyć. Jakieś słodkie rojenia to przyplwały, to odpływały ode mnie, aż wreszcie ogarnęło mnie znużenie, powieki zaciążyły i opadły, a ja sam jałem pogrążyć się w czarną czeluść niepamięci. I wtedy – znajdując się na granicy jawy i snu – całkiem wyraźnie posłyszałem syczący szepot:

– Złam pieczęcie... Jedną po drugiej... Jedną po drugiej...

Gwałtownie usiadłem na posłaniu. Ogromny srebrzystobiały księżyc zaglądał do mojej sypialni przez okno. Jego poświata sprawiała, iż było całkiem widno. Rozejrzałem się bacznie dookoła, wypatrując postaci, która przed chwilą wyrzekła była do mnie te słowa, ale nie ujrzałem nikogo.

Próbowałem poderwać się na nogi, lecz nie byłem w stanie. Jakiś niezmierny ciężar przygniótł mnie do posłania. W głowie poczęło się mącić, obraz sprzętów oświetlonych księżycową poświatą tracił ostrość, rozmywał się, nikał.

Nie potrafiąc przełamać własnej słabości, z jękiem wcisnąłem głowę w poduszkę i wówczas doznałem przedziwnego uczucia, którego jeszcze nigdy przedtem nie doświadczyłem – zdało mi się, iż zawisłem w próżni, że ciało utraciło ciężar, że prócz mojej jaźni nie istnieje nic realnego. Oprócz mojej własnej jaźni i... czegoś co usiłowało w nią wnikać. Bronilem się, odpychałem owo coś, co chciało wpełznąć do mojego umysłu, ale owo coś było silne,

bardzo silne i po chwili zmagañ zawiadnęło całym moim jestestwem.

Nie czyniło krzywdy, lecz sprawiało tylko, iż w moim umyśle jawiły się i znikaly obrazy. Przedziwne obrazy. Obrazy pochodzące ze świata innego niż ten, w którym żyłem.

Oto skalista stroma ściana, pionowym obrywem zagroziła mi drogę. Po obydwu stronach wąskiej ścieżki, zwarty gąszcz tropikalnego lasu nie pozwalały skrócić ni w prawo, ni w lewo. Lecz oto naraz, natężywszy wzrok, dostrzegłem stopień i uchwyty dla rąk, wykute w czerwonawym piaskowcu skalistego zbocza, wiodące ku szczytom wzgórza wychylającego się ponad morze oblewającej go zewsząd dżungli.

I wiedziałem, nie wiem skąd, ale wiedziałem, że ja, tylko ja i nikt inny nie może wdrapać się po tych stopniach. I wiedziałem jeszcze jedno – to mianowicie, że skoro znajdę się na szczycie, osiągnę najistotniejszy dla mnie cel. Tylko... tylko nie miałem pojęcia, jaki jest ów cel. Później obraz zblakł i rozmył się.

Gdy rankiem obudziłem się wypoczęty, a jasne, poźłociste promienie słoneczne przegoniły precz niemiłe nocne majaki, poczułem się lekki i wolny, tak jakby coś lub ktoś, spełniwszy swoją misję, pozostawił mnie sobie samemu, uwolnił od swojej – co prawda niedostrzegalnej – ale przecież nieustannie wyczuwalnej obecności.

Gabinet ojcowski przestał mnie kusić i nigdy już potajemnie nie zakradłem się do niego. Mapa zaś, owa wiekowa, dziwaczna mapa, nie rozpalila więcej mojej wyobraźni. Ot, stała się jednym z tych starych przedmiotów, które były nieodłącznym atrybutem ojcowskiego gabinetu. Przedmiotów, które ojciec z lubością gromadził, twierdząc że gdy dorosnę i poznam wartość rzeczy, bez wątpienia zrozumie, iż jego zbiór jest unikalny i niejedno muzeum chciałoby wejść w jego posiadanie, aby móc się poszczycić tak cennymi eksponatami.

Upływały dnie i tygodnie, i lata. Słońce wschodziło i zachodziło, paki na drzewach nabrzmiewały sokami, rozwijały się

liście, liście żółty i opadały, śnieg osiadał na poczerniałych konarach...

Któregoś ranka, gdy ojciec nie przyszedł na śniadanie, tknięty jakimś nieokreślonym przeczuciem, pełen niepokoju poszedłem do jego sypialni. Była pusta.

Pomyślałem, iż może zdrzemnął się w gabinecie, gdzie ostatnimi czasy lubił coraz częściej i coraz dłużej przesiadywać, przeglądając stare, pożółkłe papiery.

Zbliżywszy się do drzwi, zapukałem zrazu lekko, a później energiczniej, a nie doczekawszy się żadnej reakcji na stukanie, nacisnąłem klamkę. Ojciec w pół leżał na biurku, z szeroko rozłożonymi rękoma i twarzą ukrytą w papierach. Nie miałem żadnej wątpliwości. Nie żył.

Po pogrzebie, gdy już wszyscy krewni i znajomi uścisnęli mi dłoń, wyrażając mniej lub bardziej szczerze współczucie, i praktycznie zostałem sam przy grobie ojca, zbliżył się do mnie brat zmarłego, a mój stryj, którego prawie zupełnie nie znałem, bowiem jak daleko sięgałem pamięcią, odwiedził nasz dom nie więcej niż dwa razy. Był to stary, chudy, przygarbiony wiekiem mnich, przyodziany w brązowy franciszkański habit. Stryj nosił zakonne imię ojca Sebastiana.

– Skoro ochłoniesz nieco po tych smutnych przejściach, przyjdź do mnie, mój synu. Mam ci coś ważnego do powiedzenia. Najlepiej przyjdź pojutrze o świcie do naszego kościoła, gdzie odprawię mszę za spokój duszy twojego ojca, a mego brata.

Zanim zdążyłem cokolwiek odpowiedzieć na to, skinął mi głową i odszedł wąską alejką pomiędzy grobami, alejką obsadzoną po obu stronach strzelistymi tujami. Po chwili jego sylwetka zamajaczyła w bramie cmentarnej...

Głęboka czerń nocy zblakła, przemieniając się w szarzyznę ledwie budzącego się poranka. W prostym cynowym lichterzu dogorywał płomyk, pełgający po skręconym, poczerniałym knocie ułamka woskowej świecy.

Ojciec Sebastian klęczał po środku swej celi zakrywając twarz dłońmi i bezdźwięcznie powtarzał w koło słowa Modlitwy Pańskiej. Na pobielonej wapnem ścianie wisiał sporych rozmiarów krucyfik, na którym rozpięty Chrystus, w męce konania, w pół otwartymi ustami zdawał się być, z trudem niezmiernym a bólem, łapać powietrze w na w pół zgniecione płuca.

Wszakże nie przed owym krucyfiksem klęczał mnich i nie ku Zbawicielowi rozpiętemu na Drzewie płynęły słowa modlitwy. Oto kierował je gdzieś w przestrzeń nieokreśloną, w dal niezmierną, poza ściany celi, poza mury klasztorne, w nieskończoność niebiosów.

Wpół przymknięte oczy, przykurczone mięśnie twarzy, wyostrome rysy, pot perlący czoło, zdawały się świadczyć, iż pragnie ażeby słowa, jego słowa, dotarły tam, dokąd zapragnął, ażeby dotarły przed tron Przedwiecznego.

Skądś, z dala, dobiegło pianie koguta. Raz. Drugi. Trzeci.

Ojciec Sebastian, jakby raptem obudzony z głębokiego snu, podźwignął się na nogi, otrzepał pył z kolan i wyszedł z celi. Znalazłszy się już na korytarzu, włożył wielki klucz do zamka, przekręcił go po dwakroć i pocisnąwszy klamkę sprawdził, czy drzwi na pewno zostały zamknięte. Dopiero wówczas, wyraźnie uspokojony, wolnym krokiem wyszedł z budynku klasztornego.

Na dworze owionął go chłód budzącego się poranka, a ciałem wstrząsnął dreszcz. Przykulił się, pochylił i przyspieszając kroku, udał do kościoła św. Piotra, który czarniawą bryłą rysował się na tle ledwie co rozświetlonego brzaskiem nieboskłonu. Chociaż do kościoła mógł wejść wprost z klasztoru, udał się dalszą drogą, by przy okazji nasycić płuca rześkim porannym powietrzem.

We wnętrzu świątyni był już zakrystian – żwawy staruszek o rumianej, wiecznie uśmiechniętej twarzy. Krzątał się, zapalając świece na ołtarzu św. Michała.

– *Pax Christi!* – ozwał się staruszek na widok wchodzącego.

Ojciec Sebastian bez słowa skinął mu głową i również bez słowa podążył do zakrystii.

Nakładał humerał, albę, stulę, przepasywał się cingulum, na koniec przywdział czarny ornat, a na przedramię założył manipularz. Starzec przez cały czas pomagał mu przyoblekać szaty

liturgiczne. Wreszcie zakonnik wzięwszy kielich mszalny okryty welonem, skierował się ku ołtarzowi. Głęboko pochylony mówił półgłosem:

– *Introibo ad altare Dei. Przystąpię do ołtarza Bożego.*

Zakrystian zaś, ministrantując, odpowiadał:

– *Ad Deum qui letificat iuventutem meam... Do Boga, który uweselił młodość moją...*

Gdy innych ojców jął budzić srebrzysty dźwięk sygnaturki, niosący się klasztorными korytarzami, ojciec Sebastian dawno już zakończył sprawowanie Świętej Liturgii.

Prawie całą mszę przeklezczałem w starej, rzezananej w jakieś fantazyjne zawijasy, dębowej ławce. Gdy stryj wreszcie skłoniwszy się głęboko przed ołtarzem odchodził do zakrystii, podniosłem się z klęczek i podążyłem za nim.

Rozbierał się z szat liturgicznych powoli, układając je starannie na nadgryzionym zębem czasu i poznaczonym przez korniki blacie wielkiej komody. Ujrzawszy mnie wchodzącego, na moment odwrócił głowę i spojrzawszy kątem oka, mruknął:

– A więc jesteś. To dobrze.

Później zaś, zupełnie nie zwracając na mnie uwagi, ukląkł przed krucyfiksem, poniżej którego wisiały jakieś łacińskie modlitwy, oprawne w prostą sosnową ramkę, które najwidoczniej każdy kapłan obowiązany był odmawiać po odprawieniu mszy.

W migotliwym blasku pojedynczej świecy bacznie wpatrywał się w tekst, bezgłośnie poruszając wargami. Trwało to dość długo. W końcu jednak podźwignął się z klęczek i przeżegnawszy zamasyżycie, rzekł:

– A teraz pójdź za mną. Czasu mam niezbyt wiele, a do powiedzenia dużo.

Weszliśmy w wąski i ciemny korytarzyk, do którego wiodły niziutkie drzwi z wymalowanym na nich wizerunkiem świętego Franciszka Serafickiego, w momencie otrzymania przezeń stygmatów Męki Pańskiej. Drzwiczki osadzone były w solidnej, prostej kamiennej framudze.

Szedłem prawie po omacku, bowiem korytarzyk ów prawie zupełnie nie był oświetlony. Łączył się on z prostokątną salą,

z której liczne drzwi, widniejące na wszystkich ścianach, zaprowadzić pewnie mogłyby do każdego z zakamarków klasztoru. My jednak nie weszliśmy w żadne, lecz zbliżyliśmy się do krętych kamiennych schodków otoczonych żelazną balustradą, a wiodących gdzieś w dół. Chyba ku pomieszczeniom piwnicznym.

Stryj wydobyl z zanadru ułomek woskowej świecy i zapalił go od niemiłosiernie kopczącej lampki, napełnionej cuchnącym olejem, a przytwierdzonej do wysokiej, prostej kamiennej kolumny, podtrzymującej środek stropu sali, w której się znaleźliśmy.

Później, uniósłszy dłoń z ogarkiem ku górze, aby oświetlić nam drogę, jął zstępować owymi schodkami, które były nadzwyczaj ciasne i kręte, toteż szło się nimi nader niewygodnie.

Mniemałem, iż znajdziemy się w piwnicach, ale się omyliłem. Trafiliśmy bowiem tylko do sutereny, której niewielkie okienka wychodziły na otoczony krążgankami dziedziniec, pośrodku którego widać było – już dość wyraźnie, ponieważ niebo mocno się rozjaśniło, zwiastując rychłe nadejście dnia – zarys studni, z której, na potrzeby kuchni, mnisi czerpali wodę.

Stryj pociągnął mnie za rękaw:

– Nie gap się w okno, lecz pośpiesz raczej!

Znów wędrowaliśmy jakowymś wąskim i niskim – przypominającym tunel – korytarzykiem, aż wreszcie, na jego końcu, znaleźliśmy solidne drzwi dębowe, zaopatrzone w niemięjszy solidny zamek.

Stryj ująwszy zwisający mu przy pasku klucz, otworzył podwoje swojej celi. Tak, pomieszczenie, do którego mnie przyprowadził, było bez wątpienia jego celą.

Przestąpiwszy próg rozejrzałem się ciekawie dookoła. Prosta prycza pod jedną ze ścian. Sosnowy taboret obok sosnowego stołu ze stojącym na jego środku cynowym lichtarzem, szeroka, krótka ława, a na niej gliniana misa i dzban napełniony wodą. I wreszcie równie prosty drewniany klęcznik tak zużyty, że aż w miejscach, których zapewne dotykały całe pokolenia mnichów, poczyniły się wgłębienia. Nad klęcznikiem wisiał sporych rozmiarów krucyfiks z nadzwyczaj realistycznie wyobrażaną postacią Ukrzyżowanego.

Stryj usiadł na pryczy, jednocześnie wskazując mi dłonią miejsce obok siebie.

– Wysłuchaj mnie uważnie, Hansie, bo rzeczy o których chcę ci teraz opowiedzieć, są niezwyklej wagi... Jak zapewne wiesz, ród nasz, z którego już tylko my dwaj pozostaliśmy, wielce jest starożytny i wielce szlachetny, chociaż może ani sławą, ani majątnością innym rodom niemieckim nie dorównuje.

Śród naszych przodków wielu było takich, których życiorysy nazwać by można interesującymi, lecz jeden z antenatów, porzuciwszy rodzinne strony i udawszy się na służbę do króla polskiego, noszącego imię Zygmunta III, a wywodzącego się z rodu Wazów szwedzkich, nie tylko ogromnego majątku się dorobił, ale i najwyższych dostojeństw w Polsce dostąpił.

– O kimże to mówisz, stryju? – zapytałem zaciekawiony tym dość intrygującym wstępem.

– Był to Teofil von Semberk z Reichenbachu rodem.

– Ojciec mi nigdy o nim nie wspominał. Dlaczego?

– Pewnie gdyby Stwórca pozwolił mu pożyczyć trochę dłużej, opowiedziałby ci o naszym dalekim przodku Teofilu. Ponieważ jednak musiał odejść do wieczności, akurat w momencie, kiedy dojrzałeś na tyle, iż mógł ci bez obaw powierzyć rodową tajemnicę, a nie zdążył uczynić tego, obowiązek zaznajomienia cię z nią, mnie przypadł w udziale. Chociaż... Jeśli mam być szczerzy, wolałbym tego nie czynić...

– Czemu?! – przerwałem stryjowi.

Stary mnich popatrzył na mnie uważnie i odparł:

– Bo owa tajemnica to brzemię ciężkie i nie wiem, czy będzie ci łatwo je dźwigać, o ile dźwigać je zechcesz... Ale wróćmy do początku. Otóż tenże Teofil von Semberk tak się w Polsce zasłużył, że król Zygmunt w nagrodę obdarował go indygenatem, czyli polskie szlachectwo mu nadał. Mało tego, uczynił go generałem swojej artylerii, podarował mu majątek Krzykosy – inna wersja głosi, iż się w ów majątek wzenił, wszakże czy tak, czy owak było, paskudna to nazwa, prawie dla mnie nie do wymówienia. A na koniec monarcha powierzył mu godność kasztelana krzemienieckiego.

Nietrudno się chyba domyślić, że ów Teofil – jako wojenny mąż – nie siedział w jednym miejscu.

Liczne wówczas Polska prowadziła wojny, a on w nich uczestniczył, więc szmat kraju zjeździł.

Miał kasztelan Teofil szczególne nabożeństwo do Męczenników Sandomierskich, błogosławionych mnichów dominikańskich, których – w starożytnym kościele św. Jakuba Apostoła, do dziś zresztą w Sandomierzu istniejącym – w roku 1260 okrutnie Tatarzy pomordowali. Dorobiwszy się więc ogromnego majątku postanowił, iż wybuduje kaplicę ku ich czci, przy tym właśnie kościele, a w jej podziemiach, w krypcie murowanej, znajdzie po śmierci on, a później jego potomkowie, odpoczynek wiekuisty.

Starzec przerwał na chwilę, jakby raptem zgubił wątek, a może tylko dla odpoczynku, a później ciągnął na nowo:

– Jak zamyślił, tak też i uczynił. Około roku 1600 kaplicę – bardzo piękną zresztą, w stylu włoskiego renesansu – tak jak Teofil chciał, wzniesiono. Po śmierci, razem z żoną, w podziemnej krypcie go pochowano. Które z nich zmarło wcześniej, dziś już nie wiadomo, ale nie jest to dla nas ważne, ani zbyt interesujące. I właściwie tyle o Teofilu rzec by można było. Dodam tylko jeszcze, że spolszczył się zupełnie. Ożeniony z Polką, pozostawił spadkobiercę nazwiska i majątku, któremu było na imię Jacek. Ów żył, jak większość polskich szlachciców wówczas żyła i niczym szczególnym się nie wyróżniał. Pojął za żonę niejaką Katarzynę Jakubowską, która – jak zdaje się na to wskazywać data wypisana obok jej herbu na jednej ze ścian kaplicy Męczenników Sandomierskich – zgasła w roku 1642...

– To byłeś, stryju, w Sandomierzu? Po cóż?

– Ciekawość mnie brała skąd ród swój wiodę, a i pomodlić się na grobach przodków chciałem, przy okazji pielgrzymkę do Błogosławionych Męczenników odbywając. Ale mi nie przerywaj...

– Kiedy umarł Jacek – nie wiadomo. Nie ocalały na ten temat żadne wzmianki. Ponadto, mniemać by można, iż na nim spolszczony ród Semberków z Reichenbachu wygasł. Ale tak się nie stało. My dwaj bowiem w prostej linii wywodzimy się od syna Jacka, a wnuka Teofila, noszącego imię Stanisław, który po nader barwnym i ciekawym życiu, chociaż prócz nazwiska z ojczyzną przodków nic go już nie łączyło, nie wiedzieć czemu, w wielkim popłochu, na kilka lat przed śmiercią, uciekł z Polski i zamieszkał w Niemczech. Tu, mimo iż był już starcem, ożenił się z młodą

i ładną dziewczyną, jakąś ubogą szlachcianeczką, która pewnie zlakomiała się na pieniądze starucha, a która zdążyła go jeszcze uszczęśliwić synem Wolfgangiem.

– Gdy Stanisław umarł, wdowa prócz pieniędzy, odziedziczyła po nim również rozliczne dokumenty – niektóre pisane po łacinie, niektóre zaś po polsku, oraz pewną mapę, kunsztownie na wielkiej pergaminowej karcie wyrysowaną...

– Ach! – krzyknąłem, skojarzywszy słowa starego mnicha z mapą, która tak mnie wcześniej fascynowała, a która wisiała na jednej ze ścian ojcowskiego gabinetu.

Stryj, spojrzawszy na mnie spod oka, ozwał się na to:

– Pewnie pomyślałeś o mapie, którą znasz, bo miałeś możliwość widywać ją w waszym domu?

– Tak, stryju.

– I masz rację. To ta sama mapa. Wróćmy jednak do wątku przerwanej opowieści... Stanisław von Semberk rychło osierocił swego syna Wolfganga, który może dlatego, iż wychowywany bez ojca, a może z powodu odziedziczenia pewnego sentymentalizmu i skłonności do mistycyzmu po swych polskich antenatach (bo jak wiemy, są to dla Polaków cechy raczej typowe), od kiedy przyszedł do używania rozumu, jął zajmować się sprawami, które bardziej by mnichowi–eremitom przystawały, niż młodzieńcowi szlachetnego rodu i dziedzicowi nie najlichszej fortuny. O której *nota bene* krążyły różne legendy: już to mówiące, iż Stanisław przywiózł z Polski skarby w dowód łaski przez króla przodkom jego dane, już to, iż sam je zdobył podczas dość tajemniczej wyprawy, jaką był odbył do Turcji.

– Tak czy owak, Wolfgang miał korzystać ze złota, bawić się i używać życia, w miarę jak przybywało mu lat, stawał się coraz większym odludkiem i zasywając się w domowym zaciszu, bezustannie wertował jakieś księgi, a największą uwagę poświęcał dokumentom pozostałym po ojcu, szczególnie tym, które spisane były po polsku. Aby poznać ich treść, bynajmniej nie wynajął tłumaczy, lecz sam nauczył się polskiego...

Starzec przerwał i w zamyśleniu wpatrzył się w posadzkę, ułożoną z czworobocznych szarych płyt piaskowcowych, której – podobnie jak całego klasztoru – nie oszczędził zęb czasu. Milczał dość długo zanim na nowo podjął wątek.

– Wolfgang nie przejawiał żadnego zainteresowania kobietami i pewnie przepędziłby życie w bezzennym stanie, gdyby nie nalegania matki. Po wielu namowach i nieustannym molestowaniu, wymogła na młodzieńcu, że – chyba raczej dla świętego spokoju, nie zaś z przekonania – wreszcie pojął żonę. Ale nie dał jej szczęścia. Po ślubie natychmiast wrócił do swoich dawnych upodobań i zajęć. Ożywiła go na krótko wiadomość, iż został ojcem i ma syna, ale poza tym, że na cześć dziada kazał ochrzcić go imieniem Stanisław, dzieckiem się nie interesował zupełnie.

Za to coraz bardziej dziwaczał. A może raczej, może będzie to trafniejszym określeniem, jał podlegać jakowejś dziwnej przemianie. Stał się jeszcze bardziej skryty i milczący, i w miarę upływu czasu zaczął robić wrażenie człowieka, który czegoś się lęka i żyjąc w ustawicznym napięciu, zdaje się oczekiwać najgorszego.

Schudł, poczerniał. Jego rozbiegane oczy strzelały to na prawo, to na lewo, jakby wypatrując kogoś lub czegoś, co może chcieć mu zagrozić. Zdarzyło się, iż na całe dnie i noce zamykał się w swoim pokoju, otoczony księgami i rękopisami, nie przyjmując żadnych pokarmów, tylko od czasu do czasu domagając się to świec, to wody.

Matka i żona doszły zgodnie do wniosku, iż Wolfgang jest obłąkany, ale niestety żadna z nich nie umiała mu pomóc. Modląc się tedy, czekały tylko, pełne obaw, na jakiś dziki wybrzyk lub atak szału syna jednej, a męża drugiej.

Tymczasem stało się coś, czego żadna z kobiet się nie spodziewała. Oto któregoś wieczora Wolfgang polecił służącemu, aby ów przyprowadził do jego pokoju żonę, a gdy ta – głowiąc się, co by owo wezwanie miało oznaczać – natychmiast posłusznie przybyła, powiedział jej, że oto wreszcie, po wielu trudach, kosztem ogromnego wysiłku i stracie wielu lat, rozwiązał zagadkę swego ojca Stanisława i wie już czemu ten, na stare lata, porzucił rodzinne pielesze, i w popłochu uciekający z Polski, osiadł w Niemczech.

Wszystko to, co odkrył, opisał – po polsku – aby niepowołani ludzie nie mogli przeniknąć tajemnicy ich rodu i powierza owe zapiski jej właśnie, z prośbą – by zadbawszy wpierw o to, żeby ich syn nauczył się polskiego – przekazała mu je gdy dorośnie.

Gdy kobieta wzbraniała się przed przyjęciem wręczanego jej manuskryptu, mówiąc iż da go sam ich synowi za lat parę, Wolfgang tylko pokręcił głową i uśmiechnąwszy się smutno, odrzekł, iż jego życie dobiega kresu. Ona zaś – małżonka – ma zadbać, aby syn uczynił odpowiedni pożytek z wiedzy przekazanej mu w tym dokumencie przez ojca. Tajemnica, którą dokument zawiera była tak ważna, że nie chciał umierać nie upewniwszy się, iż rozpoczęte przezeń dzieło zostanie w przyszłości ukończone.

Nie chciał jednakże powiedzieć swojej żonie czegoś więcej na ów temat. Wspomniał tylko, iż dla człowieka bez skrupułów przeniknięcie tajemnicy byłoby nieocenionym skarbem i kluczem do dobrobytu, że kiedyś wydarzyły się rzeczy straszne i obrzydliwe zarazem w swej ohydzie, że grzech przodka musi być odkupiony, inaczej – wcześniej czy później – w tym, czy też w innym pokoleniu, może wydarzyć się coś, co wprawi świat w przerażenie i zdumienie zarazem, a ktoś z ich rodu będzie musiał spłacić zaciągnięty przez Stanisława rodzaj długu w taki sposób, w jaki żadna ludzka istota nie chciałaby go spłacać. Choćby był potomkiem i w siódmym nawet pokoleniu...

Dodał jeszcze, iż prócz manuskryptu, który wyszedł spod jego pióra i mapy tajemniczej wyspy – niezbędnych pospołu do zrozumienia pewnych rzeczy – w przypadku gdyby one zaginęły, wskazówek dotyczących rozwikłania rodzinnej tajemnicy, można ponoć poszukać w krypcie grobowej Semberków pod kaplicą Błogosławionych Męczenników w Sandomierzu. Wolfgang nie powiedział już ani jednego słowa więcej i chociaż zaintrygowana małżonka usiłowała wydobyć odeń coś jeszcze, nie otworzywszy ust, odprawił ją skinieniem ręki.

Mnich znowu zamilkł. Długie opowiadanie wyraźnie go męczyło. Po chwili jednak, westchnąwszy ciężko, kontynuował swą opowieść.

– Rankiem następnego dnia przerażona służba doniosła, że pan Wolfgang nie żyje. Gdy żona i matka czym prędzej pobiegły do jego pokoju, ujrzały widok niezwykły i przerażający zarazem. Oto trup stał, wciśnięty pomiędzy bok wielkiej dębowej szafy, całej wypełnionej księgami, a wystający marmurowy gzyms kominka, w pobliżu którego ustawiony był ów mebel. Wszakże nawet nie sama – nader niezwykła pozycja, w której znajdował się

nieboszczyk – wprawiła obydwie kobiety w popłoch, lecz wyraz jego twarzy.

Wykrzywiona była w tak potwornym grymasie, że na pierwszy rzut oka trudno było ją rozpoznać. Usta w pół otwarte, jakby w zagasłym niemym krzyku. Szeroko rozwarte oczy nieruchomo wpatrzone w jeden punkt – w dziwaczną mapę rozwieszoną na przeciwległej ścianie. Włosy rozsypane w nieładzie. Jedna ręka zaciśnięta całą mocą na krawędzi szafy, druga zaś w obronnym geście, ze szponiasto rozwartymi palcami, wyciągnięta do przodu, tak jakby umarły usiłował powstrzymać kogoś lub coś, co przyszło do niego.

Gdy służba z wielkim trudem wyszarpnęła zwłoki z ciasnego kąta, medyk zawezwany przez ogarnięte grozą kobiety, dokonawszy szczegółowych oględzin trupa orzekł, iż nie może tu zachodzić przypadek zabójstwa. Pan Wolfgang nie umarł też na żadną ze znanych medycynie chorób, a jedynym racjonalnym wyjaśnieniem zgonu może być wyłącznie strach, strach tak potężny, że aż zdławił serce, którego bicie ustało.

Co zaś strach ów mogło spowodować, Bóg jeden tylko wie i umarły, ale przecież ani od jednego, ani też od drugiego niczego dowiedzieć się nie można. On, medyk, nie czuje się uprawniony do snucia spekulacji i odradza czynić to innym. Cokolwiek jednak ujrzał pan Wolfgang, musiało to być zaiste przerażające, skoro przyprawilo o zgon mężczyznę w sile wieku i zupełnie zdrowego.

Wdowa pomna próśb i poleceń męża, jakie ten był jej wydał owego wieczoru, skon swój poprzedzającego, wyuczyła syna ich, Stanisława, po polsku i gdy dorósł przekazała mu manuskrypt ojcowy i wszystko co wiedziała o przodkach nieboszczyka męża.

Próżno jednak młodzieniec usiłował pojąć to, co było zawarte w zapiskach ojca, próżno godzinami całymi wpatrywał się w mapę. Ni z jednego, ni z drugiego dokumentu, niczego zgoła wyrozumiąć nie mógł. Manuskrypt zawierał dziwaczne jakieś opisy, rojenia chorego umysłu przypominające, dla rozumu trzeźwego i racjonalnego bezsensowne zgoła.

Przypuszczał Stanisław, iż nie jest to bynajmniej samo rozwikłanie tajemnicy jego dziada, którego imię nosił, ale raczej klucz do niej, a może fragment klucza, bo przecież ojciec przed zgonem wspominał także i o ważności mapy.

Mimo licznych prób, z samozaparciem i uporem podejmowanych, nie udało się Stanisławowi rozwikłać zagadki. Mniemał, że pomocne by mu były zapiski i dokumenty dziadka, ale tych po dokładnym przeszukaniu całego domu nie odnalazł.

Wyrozumiał z tego, że pewnie to jego ojciec je zniszczył, z sobie tylko wiadomych względów...

Wreszcie dał spokój całej sprawie, poświęcając się odąd zajęciom przyziemnym zgoła i nic z tajemniczością nie mających wspólnego. I od tego czasu nikt z naszego rodu nigdy już do zagadkowych kwestii nie powracał. Ot, tak mapę, jak i manuskrypt przekazywano tylko z pokolenia na pokolenie, razem z opowieścią zawierającą ich dzieje.

Przez dwa stulecia, czyli poprzez sześć pokoleń – bowiem zwykło się przyjmować trzy pokolenia na stulecie – mapę i manuskrypt traktowano jedynie jako pamiątkę rodzinną i nic ponadto. Dopiero twój ojciec, a mój brat – Panie święć nad jego duszą! – dostawszy dokument w swoje ręce, z ciekawości chyba i z nudów, zabrał się do zbadania zapisków naszego naddziada.

I rzecz szczególna, im dłużej się nimi zajmował, tym większej zmianie ulegał jego charakter i zachowanie. Z lekkoducha – niech mi daruje, że tak o nim mówię, ale przecie nie było inaczej! – przeistoczył się, w przeciągu kilkunastu miesięcy zaledwie, w człowieka poważnego i zamkniętego w sobie. Ba! Aby móc lepiej wszystko wyrozumieć, nie dowierzając widać tłumaczom, wyuczył się polskiego i tegoż języka kazał również uczyć i ciebie, gdy dzieckiem jeszcze byłeś, jakby przeczuwając, iż sam nie ukończy rozpoczętego dzieła.

Nie utrzymywaliśmy bliższych kontaktów, chociaż obaj w tym samym mieście mieszkaliśmy.

Lecz nie z mojej winy tak było, tylko twego ojca, który nawet i własnego brata niechętnie widywał.

Aż oto – będzie ze trzy niedziele temu – przybył do klasztoru w wielkim popłochu i wręczając mi manuskrypt, poprosił abym go gdzieś dobrze ukrył. Nie chciał niczego szczegółowiej wyjaśniać. Dodał tylko, iż rozwikłał zagadkę przeszłości, że nasz ród ma jakiś dług do spłacenia i że gdyby jemu coś się stało, mam przekazać papiery tobie, z prośbą byś się nimi zajął. Do starych

niezrozumiałych dokumentów dołączył też swoje wyjaśnienia w osobnej kopercie, zapieczętowanej lakową pieczęcią, z wyciśniętym na niej herbem naszego rodu, zaklinając mnie bym jej nie otwierał inaczej, jak tylko w twojej obecności Hansie i abyśmy obydwaj – przeczytawszy dokument, który tam umieścił, zajęli się sprawą niezwłocznie i gorliwie. Dlaczego zająć się musimy, nie chciał mówić, bo gdyby nie okazało się konieczne wtajemniczenie osób trzecich, sam doprowadzi rzecz do końca. My zaś mamy zająć się nią jedynie wówczas, gdyby go Pan Bóg powołał z tego świata do siebie.

Przeczuwał widać biedak swój rychły zgon i najwyraźniej się czegoś lękał. I przeczucie go – jak widać – nie myliło. Nie żyje. A ponieważ on nie żyje, poprosiłem cię do siebie, byśmy – jak sobie życzył – zapoznali się z poręczonymi mej pieczy dokumentami.

– Mam je tutaj ukryte w celi i zaraz zajrzemy do nich.

Ojciec Sebastian podźwignął się z pryczy, lecz nie zdążył uczynić ani jednego kroku jeszcze, gdy naraz naszych uszu dobiegło dość ostre, natarczywe nawet, kołatanie do drzwi.

– Proszę! Proszę!... – ozwał się starzec.

Na te słowa drzwi się rozwarły, a na progu stanął młody mnich.

– Ojczce Sebastianie – powiedział. – Gwardian was wzywa. Macie natychmiast udać się ze mną. Sprawa jakaś ważna.

Starzec ze zdziwieniem spojrzął na mówiącego:

– Przecież ojciec gwardian zwolnił mnie na dzisiejsze przedpołudnie z wszelkich obowiązków...

– Mnie nic nie wiadomo – młody mnich wzruszył ramionami.

– Zaczekaj tutaj Hansie – rzekł starzec odwracając się w drzwiach. – Postaram się jak najrychlej wrócić.

– Dobrze stryju, poczekam. – odparłem.

Gdy wyszli, bacznie rozejrzałem się po celi. Pomny słów stryja, mówiących, iż gdzieś w tym pomieszczeniu schował poruczone jego pieczy dokumenty, ciekaw byłem czy uda mi się odgadnąć miejsce ich ukrycia.

Próżno jednak zaglądałem we wszystkie zakamarki, próżno dokładnie zlustrowałem pryczę mniszą, nie szczędząc nawet

siennika wypchanego niezbyt świeżą już słomą. Próżno oglądałem, a później opukiwałem ściany, mniemając, iż to któraś z nich kryć może jakąś tajemną skrytkę.

Lecz wszelkie poszukiwania okazały się bezowocne. Mimo jednak, że nie udało mi się zaspokoić swojej ciekawości, ucieszyłem się, iż papiery bez wątpienia są bezpieczne, bo skoro ja, który wiedziałem, że należy ich szukać nie gdzie indziej, tylko w tym właśnie pomieszczeniu, a nie udało mi się nawet natrafić na ich ślad i byłem wobec schowka stryjowego bezsilny, to co dopiero mówić o osobie trzeciej, nie mającej tej wiedzy co moja.

Upiwszy łyk zimnej wody z dzbana, bo naraz poczułem pragnienie, usiadłem na powrót na pryczy i jałem rozmyślać nad tym wszystkim, co mi stryj opowiedział. Czułem wielki zamęt w głowie i nie bardzo wiedziałem czy tak z całym przekonaniem mogę wierzyć w tę bez wątpienia starą i barwną legendę rodzinną, czy też może raczej powinienem zachować do niej duży dystans.

Ale w tym momencie przypomniały mi się nieoczekiwane własne dziwne doświadczenia i przeżycia sprzed lat, które bez wątpienia powiązać mogłem z mapą i z niczym innym.

Z korytarza doleciał mnie odgłos ludzkich kroków. Ktoś stąpał z pewnym wysiłkiem, lekko powłócząc nogami. Po chwili drzwi celi uchyliły się z przeraźliwym skrzypieniem dawno nie oliwionych zawiasów i w progu miast stryja, ujrzałem postać nieznanego sobie mnicha.

Z postury sprawiał wrażenie sędziwego i słabego. Stał niepewnie, barkiem opierając się o kamienną framugę odrzwi. Twarzy przybysza nie mogłem dojrzeć, bowiem skrywał ją obszerny, naciągnięty aż na oczy kaptur. Przybyły skinął na mnie kościstą dłonią, a gdy się przybliżyłem, odwrócił się nieco bokiem, jakby obawiając się, żebym przypadkiem nie dostrzegł jego rysów (takie przynajmniej odniosłem wrażenie) i powiedział:

– Ojciec Sebastian, twój stryj młodzieńcze, prosił mnie, abym przekazał, iżbyś już więcej nie czekał na niego. Nieprzewidziane zajęcia zatrzymało go na dłużej i dzisiejszego dnia, żadną miarą nie będzie ci mógł poświęcić ani jednej chwili. Powiedział jeszcze, że kiedy indziej zdążycie jeszcze się nagadać.

Głos mnicha był jakiś dziwny, zbliżający się do granicy szeptu i jednocześnie syczący... Przypominał mi coś... Z pokładów